

Wpis 1. DZIENNICZEK PSYCHOPATY

Przybyła do mnie zaraz po otwarciu sklepu, a radio mówiło:

„Nieznany sprawca po dokonaniu brutalnego morderstwa trzech nieletnich dziewcząt zbiegł nie zostawiając żadnego śladu. Policja nie ma jeszcze podejrzanych...”

- Słyszysz pani? To o mnie mówią. Za każdym razem, gdy słyszysz pani „nieznany sprawca” to albo tamto, albo coś w ten deseń, to praktycznie zawsze chodzi o mnie.

- Jasne, akurat.

- Pokażę ci.

Zamknąłem drzwi sklepu i wyłączyłem kamery. Wywiesiłem na drzwiach „zamknięte” i ubiłem młodzieńską szesnastolatkę trzonem młotka. Same głuche uderzenia prowadzące do tętniaka na mózgu tegoż z kolei prowadzącego do nagłego zgonu.

Okupowałem się krwią. Z martwą dziewczyną doczepioną zgrabiałą ręką do mej stopy, w której postępuje już powolny proces gnicia. Będzie tak przez następne parę dni. Będę patrzył jak jej mięśnie gnić będą i odchodzić od twarzy. To cudowne uczucie patrzeć na śmierć i rozkład czegoś tak pięknego jak ona. Tego jak staje w przeciągu kilku dni się stara i bardziej martwa. Nikt nie docenia, bowiem tejże najwyższej, bowiem sztuki oglądania różnic martwej i żywej natury. Cóż za boska dwuznaczność, ukryła się w tym ostatnim zdaniu.

Tkwiałem cały dzień i całą noc przy gnijących zwłokach, jak przy umierającej matce. W jednym tylko miejscu, z uczepionym ciałem dziewczyny. Przyglądałem się jak jej ciało staje się na moich oczach stare. Obumierało jak kora starej sekwoi. Pojawiły się plamy opadowe, jak na jesiennych liściach, które okrywają żółcią swą pierwotną zieleń, zbyt jasną by przetrwać kolejny sezon. Zaczęło jednocześnie wydzielać ten specyficzny zapach, który tak dobrze jest mi znany. Jej oczy wyszły z orbit, a ja czekałem kolejne godziny upajając się jak z pięknej kobiety tworzy się inne piękno, straszliwe i niemiłosierne. W prostocie swej przemiany, która mimo swej syntetyczności budziła mieszane uczucia. Podciągnąłem ją i wrzuciłem jej głowę do muszli klozetowej. Wrzuciłem nieuziemiony kabel, jeden z, wielu jakie miałem w swojej kolekcji, i wrzuciłem do sedesu. Ciało jej zaczęło spazmatycznie dygotać i wyczuwalny był smród smogu elektryki. Spomiędzy jej ud wypadło coś na podłogę. Wtedy uświadomiłem sobie, że jest w ciąży, gdzieś w trzecim miesiącu. Jej pośmiertna wola przetrwania własnego dziecka była tak silna, że dziecko dosyć, że się urodziło znacznie przedwcześnie, to w dodatku żyło. Poruszało się powoli i bezgłośnie. Wyciągnąłem słoik, odciałem pępówkę, wsadziłem ostrożnie tego malca do niego i zalałem ciepłą wodą. Położyłem go na półce w widocznym miejscu bym mógł go od razu zabrać ze sobą, gdy miałem usunąć ciało dziewczyny.

Wyprowadziłem dziewczynę, która była lżejsza, niż gdy ją wnosiłem. To by się jej pewnie spodobało, bo ostatnio wszystkie młode dziewczynki uważają, że są za grube. Teraz straciła dodatkowo jeszcze coś więcej. Wyszedłem z nią tylnym wyjściem między budynki pełnych śmietników. Założyłem rękawiczki, wziąłem piłę. Odcinałem kawałki jej człowieczeństwa, pakując do przypadkowych worków, których była tam cała masa. Nawet nie wiedziałem, że tak sprawnie i szybko potrafię to zrobić. Podzieliłem ciało na siedem unikalnych części, nie robiąc przy tym prawie żadnego bałaganu, bowiem przestała już krwawić, a i tak dla bezpieczeństwa kroilem ją w worku. Małe ciach-ciach, które zajęło trzydzieści minut mojego życiorysu i właściwie było już po wszystkim. Udałem się spokojnym krokiem do mojej cudownej kawalerki, odpalając papierosa, witałem świt, myśląc o dziecku w słoiku, oraz o tym, że nigdy więcej tu nie wrócę.

Zabiłem godzinę temu wesz i poczułem przez to ogarniający mnie smutek i żal. Stało mi się przykro, a w moim mózgu zaistniał czerw o baldaszkowatej główce. Nie spałem dwa tygodnie. Za parę dni, wyczuwam, że moje życie zmieni się diametralnie, ponieważ pragnę rozbudzić martwą historię mej pamięci a wraz z nią nieodzowne wspomnienia. Ale to dopiero za kilka dni. To są, bowiem tylko plany. Każdy ma jakieś. Bo muszę powiedzieć, że właściwie czuje się jak żywa skorupa bez duszy, obdarta z niej w zupełnej całości. A ja sam jestem tylko zbiorem przypadkowych informacji i esejów, która nie kontaktują się ze światem, jedynie go obserwując.

Wesz leżała martwa skryta pod ciepłotą mojego paznokcia. Z rur, którymi oplatany jest mój sufit, wyostrzyć można było dźwięki muzyki.

Nastała pora zimna i mokra. Za oknem cały czas widzę ciemność. Nawet, gdy jest jasno widzę wszędzie mrok. Wtedy wiem już, że wszystko jest w porządku. Ściągnąłem słoik z półki by nakarmić małe stworzenie zakonserwowane w środku. Musi minąć parę miesięcy nim urośnie. A co wtedy? Czy będę skory przenieść w większy słoik to małe dzieciątko? Czy może moja filozofia zmieni się diametralnie i wymyślę dla niego lepszy żywot. Usłyszałem jęki za oknem. Patrzyłem na drugą stronę ulicy, przez nie, tam gdzie mieściła się moja praca. Obserwowałem jak do śmietników gdzie zostawiłem pokrojoną dziewczynę. Zbliża się poranny menel zbierający skarby z astralnych pojemników na śmieci. Jak wyżera przypadkowe rzeczy. Jak pożera ciało dziewczyny nie zważając na konsekwencję. Będę go pilnował. Podobno w niektórych religiach jak się zje ciało martwego, przejmuje się jego duszę.

Stałem przed słoikiem i czuwałem przy nim jak przy chorym. Przyzwyczajałem go do papierosowego dymu, który miał stać się jego integralną całością, jego życiem, słońcem i powietrzem. Nie chciałem patrzeć przez wiele dni jak się rozrasta między moimi ulubionymi książkami. Wstrzyknąłem mu środek na rozrost i pogłębienie sfer psychicznej elementarności. Rozszerzający umysł i rozbudzające martwe i nieużywane półkule mózgu. Od jego dzieciństwa próbuje stworzyć boski twór. Moje właściwie dziecko, zrodzone z martwej nieletniej, rozrastało się w słoju, gdzie jego mięśnie i głowa pęczniały jak balon. Nim się zorientowałem patrząc na ten wspaniały obraz rozrostu, nie mogłem go wyjąć ze słoja. Rozbiłem go o muszlę. Zawartość wylałem do środka i odkręciłem wodę, mówiąc przy tym na głos by o mnie pamiętał i za jakiś czas niech mnie odnajdzie. Wróciwszy do pokoju usiadłem i myślałem o przestworzach, w jakich mógłbym się znaleźć gdyby moja dusza była odseparowana od ciała.

Czułem wszechogarniającą moje istnienie gorycz trawiającą moje układy spożywcze. Czerń zgryzoty poczułem, gdy kolejny raz smakowałem grejpfrutów. Zbliżało się południe a ja musiałem być gotowy na wieczór, na kolejną dawkę psychosomatycznych wrażeń. Na początku czytałem. To najlepszy sposób na odkształcenie rzeczywistości.

W przerwie w czytaniu, po jakichś dwóch godzinach, zerwałem z siebie całe ubranie. Stałem nagi przed lustrem i powoli zdrapywałem naskórek z całego ciała. Po godzinie skóra stanie się gładka, błyszcząca i bardziej wrażliwa na piekło życia, które mnie otacza. Otworzyłem swoją apteczkę i wpoilem w żyły kolejne roztwory. Moje żyły pęczniały i siniały. Wyczuwałem głód hybrydowy, będący połączeniem kilkunastu obrazów napęczniałych do nieprzyzwoitości.

Chciałem się połączyć z tym cudownym obrazem z książek. Tkwiłem tak w nieustannym bezruchu i chciałem tkwić, dopóki ktoś mnie nie powstrzyma albo nie przerwie tejsze więzi, nawet, jeśli będzie to musiało trwać tysiąc lat. Chciałem mieć czas na zbieranie w sobie inspirujących pomysłów.

Wyswobodziłem się z żelaznych prętów bezruchu po całej godzinie, nie mogąc znieść rosnących we mnie fal prymitywnego myślenia. Moje ciało przypominało ciało mutanta. Żyły nabrzmiały i wyglądały jak betonowe drogi wtopione w moje ramiona. Moje nogi skamieniały i się zarumieniały. To dziwne, że nikt mnie nie zauważa. Wyszedłem na przekór światowi, robiąc mu na złość, mówiąc mu, że to ja jestem nowym światem. Krople deszczu muskają moją skórę. Wokół jest szaro i ponuro. Zmierzałem nagi tam, gdzie rosną kasztany.

Powitałem przestrzeń zahaczając wspomnieniami o wczorajszą buddyjską kontemplację. Wypiłem po skończeniu hektolitry płynów, zatapiając się w jednostkowej małostkowości. Dziś powstał czas, a jeśli ja jestem tego świadom znaczy to, że jestem bogiem. Nachodziły mnie bez przerwy małe pędraki zahaczające o moje zrzucone, jak u węża, powłoki skóry. Nie wiem, czym byłem.

Szedłem uliczkami wychodzącymi na światłość poranka. Jednak mury nadal były zimne, szare i niepokojące. W oddali zobaczyłem postać, i zaraz się ukryłem. Wprowadzony do mojego ekosystemu ciała obcego, pozwolił mi na lepszą przyczepność i zwinność. Wymodelowałem palcami moją twarz tak by nikt mnie nie rozpoznał, ponieważ miała ona konsystencję miękkiej

gliny. Zacząłem drążyć coraz bliżej, wyglądając jak karykatura człowieka z tanich horrorów. Ale mówię wam, odpowiednie narkotyki mogą zmienić dokładnie wszystko.

Zaczaiłem się za młodą, letnią kobietą. Byłem jak ekshibicjonista, lubiłem to. Rozbierać się i wychodzić o świcie, tułając się między zaułkami, by ktoś ukradkiem mnie zobaczył. Chodzi o pojedyncze osoby. Kobieta miała krótką spódniczkę, obcisłą bluzkę, zupełnie nie na tą porę i niemal zimowy płaszcz. Zaszedłem ją od tyłu i uderzyłem w tył głowy. Upadła i dygotała. Z jej ust i nosa wylewała się krew. Odsłoniłem jej uda, i zadarłem do góry spódniczkę. Zaczęło mnie to brać. Ściągnąłem jej majtki i wsadziłem jej moje ostrze. Czysta ekstaza. Jak skończyłem, uświadomiłem sobie, że od kilku minut jest już martwa. Zatarłem wszystkie ślady i odszedłem. Wróciłem spokojnie do domu czując się spełniony, bo ulżyłem mojemu pierwotnemu instynktowi, i nieważne ile razy to, co robimy, będziemy robić i tak prędzej czy później będziemy do tego wracać. To jest właśnie ta głupia zawilść życia. Według instynktu pierwotnego pożeramy tym wszystkie dobra materialne.

Wszyscy jesteśmy rzeczami nieistotnymi dla kosmosu, ale dla nas samych, dla naszych krótkich żywotów, wszystko ma sens. Zresztą nie możemy przecież pojąć, dlaczego jednodniowe życie muchy ma sens. I nie obchodzą mnie w tym wypadku bogowie czy istoty z innych planet czy dinozaury żyjące po kilka tysięcy lat i nieumiejące tego wykorzystać. Ale co będzie, jeśli ktoś to będzie burzył, w nieustannym ruchu zanikających maszyn.

Wpis 2. CMENTARZYSKO JELENI

Nim dojdę tam gdzie zmierzam, minie cały dzień i wieczór. Zmierzam do krainy bzu, kasztanów, wodorostów i kwadratowych pomników. Przez fundamenty lasów pierwotnych zahaczałem o polne drogi i wyboje, na których, co rusz chciał mnie ktoś swoim samochodem podrzucić. Ale ja nie chciałem zwracać na siebie uwagi, nie chciałem też rozmawiać z przypadkowymi ludźmi. Była w nich wszystkich fałszywa dobroć, bo i tak wszyscy kombinują, jakie korzyści mogą zebrać przez przypadkowe osoby. Szedłem dalej mijając wiejski kościół, rozmyślałem, że miło by było, jakby kiedyś wybudowali coś takiego dla mnie. Będę szedł tak dalej, z małym laptopem pod ręką, na którym mógłbym pisać na bieżąco wszystko. I jak strach omijać wszystko, bo byłem tym, czym się ludzie boją. Jestem tą formą właśnie cielesną, nieokiełznanego i niewiedomego strachu, który jest zakorzeniony niemal w każdym człowieku.

Zmierzałem przez lasy i pola, prawie całą noc. Jakieś nieznane siły gmatwały moją widzianą przestrzeń przede mną. Aż na horyzoncie zobaczyłem zamurowane miejsce, przyozdobionym drutem kolczastym jak łańcuch świąteczną choinkę. Przeszedłem przez zamkniętą bramę, stojącą przede mną otworem ukazując mi piękne oblicze cmentarza, gdzie pochowane były jelenie. Było to unikalne miejsce. Gdy sześć lat temu rząd zakazał zabijania tychże zwierząt, powstało to miejsce, gdzie każde kolejne zabite zwierzę było tu chowane. Nie te, które zmarły śmiercią naturalną, bo te stają się pożywką dla natury, lecz te zabite przez ludzi, z czystej głupoty.

Chyba potrzebowałem spokoju, bo wróciłem tu po tygodniu. To szybciej niż ostatnim razem. Była to niemal samotnia pustelnika, którego otacza śmierć i rozkład. Nigdzie tak, bowiem nie można obcować ze śmiercią jak na cmentarzu. Zwłaszcza takim unikalnym i chyba jedynym, położonym z daleka od ludzkich siedzib. Zupełnie jakby ciała tych zwierząt były zarażone jakąś chorobą, albo ciążyła nad tym miejscem jakaś klątwa. Może i ciążyła, ale na pewno nie przez zwierzęta. Ludzie nie odwiedzają tego miejsca od pół roku, mówiąc, że sam diabeł je opętał. Mówią, że ten, kto się zepuści samemu w te rejony znika pochłaniany przez czeluści piekieł, i znika, nigdy nie będąc odnalezionym. Po części może to i prawda, ale ja nie wierzę w religię, przesady i zabobony. Nie wierzę, chyba, że sam tworzę religię, przesady i zabobony.

Gdy tu dotarłem, ponownie nastał świt. Drążyłem między identycznymi grobami, na których jak o ludziach, pisano, kiedy zmarło dane zwierzę. Nigdy nie pisano, gdy się narodziło. Przez to miejsce te tym bardziej pachniało śmiercią. Na grobach widniały dwa zdjęcia. Martwego jelenia i człowieka, który go zabił. Tym bardziej było to miejsce magiczne. Zwłaszcza o tej porze. O świcie budziły się wrony i skrzecząc niby posłańcy złych wiadomości, które mimo swego pesymizmu muszą być opowiedziane. Nieraz je słuchałem. Cudowne opowieści o śmierci w wyższych wymiarach.

Miałem na owym cmentarzu pewien sekret, który stał się czymś w rodzaju dogmatu. Na cmentarzu mieściło się dokładnie sto sześćdziesiąt sześć grobów w tym cztery grobowce, w których zamknięta była zbiorowa mogiła, wybita przez kłusowników, tylko dla zabawy. Marzę o takim polowaniu, lecz nie na jelenie. Byłby z tego ubaw niosący taką ilość adrenaliny, aż mój organizm by pewnie tego nie wytrzymał. Czekałem aż się ściemni. Przez cały dzień robiłem to, co zawsze. Liczyłem groby. Uczyłem się ich na pamięć. Obserwowałem i czytałem krótkie życiorysy każdego z nich jak dowcipy, które śmieszyły mnie za każdym razem.

Przychodzę tu średnio raz na miesiąc, spędzić parę godzin, tak od trzech lat. To miejsce jest, w pewnym sensie, głęboką inspiracją dla tego, co robię. Bo tyle ile było grobów, tyle było historii, a ja w ich zastosowaniu, planuję i piszę wspólną historię ludzi, którzy stają się częścią mojej historii, to jest, mojego dziennika. To mój cel. Opisywać ludzką śmierć, by przybliżyć ją do siebie, oswoić się z nią i okiełznać.

Gdy się ściemniło, wszedłem do największego grobowca, mieszczącego szesnaście jeleni. O dziwo nikt jeszcze nie znalazł tej kryjówki, przeze mnie ozdobioną niemal azteckimi zdobieniami, i to w sensie dosłownym. Bowiem mieszczą się tu oprócz jeleni siedemdziesiąt dwa ciała, zabitych przeze mnie kobiet. Może kiedyś opowiem, dlaczego właśnie kobiet i to tak młodych. Wokół, na ścianach, były poprzyczepiane kości w chaotycznym rozgardiaszu. Skóra, której nie tyka czas, w

tym miejscu posłużyła za trofea, niby skór niedźwiedzi, na których wymalowywałem prymitywne rysunki jak homo erectus, jak doszło do każdego zbliżenia i skończenia każdej ofiary. Są to niesamowite opowieści, na które poświęcę osobne dzieło opisujące to. Stały tam też moje osobiste meble, harmonijnie dogrywające się z otoczeniem. Z ciemnego drewna, wzbudzały jakiś rodzaj dziwnego nastawienia, i poczucia obcości jak przy oglądaniu obrazów niektórych surrealistów. Zderzenie dwóch środowisk, które zmienione, znów stały się jednością.

Za stołem miałem przy ceglanych ścianach doczepione, jak w lochach, łańcuchy. To tutaj spoczywała przedostatnia ofiara. Czasami obstawiałem, jak w ruletce, zastanawiając się, myśląc o tym jak o przyjemnej rzeczy. Ile wytrwa żywa, jednak tym razem przegrałem sam ze sobą. Dziewczyna zwisała rękami, siedząc w rozkroku. Jej oczy były wytrzeszczone, zjadane na moich oczach przez robaki. Wychudła z głodu i pragnienia. Jej usta były otwarte. Pomiedzy nimi, gniazdo uwiła sobie włochata gąsienica. Jej skóra była chropowata, pożółkła i zawinięta, jakby była na nią za duża. Była blada a strupy krwi i robaki, nadawały jej piękno dziwolągów z obrazów Boscha. Była zmorą malarza, intensywnie inspirująca. Zastanawiam się, jakby zareagowali ci, którzy by to miejsce znaleźli. Oczywiście nie ma żadnych powiązań ze mną. A o tej porze i tak nie ma szans, by ktoś mnie tu znalazł. To miejsce jest tak odosobnione jak to tylko możliwe. A bojaźliwi i zabobonni wieśniacy wolą schować się pod łóżko, niż zapuszczać się tutaj nocą.

Nie spałem kolejne dwa dni. Zamknąłem się w ciemnościach, nie widząc niczego, niczego nie słysząc, nie czując absolutnie niczego. Miałem jedynie majaki za swoich przyjaciół, stające się integralną częścią tego miejsca. Nie raz zdawało mi się, że z ust ostatniej dziewczyny rozwartych jak pochwa starej prostytutki, wieje dudniący wiatr. Doprowadził mnie on do samego dna eterycznej wrażliwości.

Po przeszło trzydziestu godzinach samotni, wyszedłem na światło nocy. Podpalałem filtry papierosów i wahałem ich opary. Potem oddałem się ulotnej kontemplacji utrzymanej w fazie REM, w ruchu jednostajnym prostoliniowym. Wszystkie doby przeleżane w otchłani mej wyobraźni zaczęły się rozrastać. Postanowiłem wracać, nie mając tu nic więcej do roboty.

Wracając przez las, spotkałem na swej drodze wilczyce. Byłem wycieńczony. Wilczyce obeszły mnie zewsząd, całą niepoliczalną watahą, a ja byłem nagi. Zachodziły mnie ze wszystkich stron, nie robiąc niczego. Nie wykonując agresywnych gestów, ani nie warcząc. Próbowaly mnie pochwycić w sidła swych zębów. Ale ja tylko na nie patrzyłem. Patrzyłem na nie przez cały gwiazdny rok. Zaczęły skowyczeć. Były głodne a ja o tym wiedziałem. Jednak nie zdradzałem strachu. Był mrok leśny a oczy ich świeciły pełnym żarem. Zdawały się być bajkowymi wilkołakami niż zwierzętami. Odsunęły się ode mnie, i jedna zawarczała w moim kierunku, szczerząc kły, by w następnej chwili rzucić się na swojego pobratymcy, i rodzinę. Rozszarpując gardło swojej wilczej koleżance. Od razu na tą, co atakowała, rzuciły się trzy pozostałe, rozrywając jej boki. Wściekła wilczyca zagryzała wszystkie po kolei, a one, jak w amoku, pomyłone faktem, zagryzały się wszystkie nawzajem, popadając w furję, zmieniając cel, myśląc, że każdy jest wrogiem i tylko czeka na atak. Każda tak myśląc, szła w ślady pozostałych, instynktownych zwierząt łownych. Patrzyłem się na nie jak sześć szarych ciał splata się w jedno, jak na jakimś malowniczym obrazie, z którego bucha soczysta czerwień pośród szarości. Patrzyłem na to zaaferowany jak to się potoczy, bowiem wiedziałem, że jeśli zacznę odchodzić czy uciekać, one się zorientują i zaczną podążać za mną. Polując. Wołałem zostać, poczekać na tego kres, a każdy koniec, każdej historii, nawet bajki, gdy pociągnąć ją zbyt długo, kończy się czyjąś śmiercią. Gdy więc sześć wilczyc było martwych, ja zacząłem wracać, oczekując dalszych fascynacji życiem.